Słuch jako fundament życia: od biologii do polityki hałasu

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Współczesna cywilizacja, zdominowana przez kult wskaźników i danych, utraciła zdolność do głębokiego słuchania. Artykuł podejmuje próbę przywrócenia słuchowi rangi fundamentalnego zmysłu, który nie jest jedynie estetycznym dodatkiem, lecz biologicznym fundamentem zakorzenienia w świecie. Autorzy analizują ewolucyjne mechanizmy słyszenia, rolę bioakustyki w ekologii oraz niszczycielski wpływ antropogenicznego hałasu na zdrowie publiczne i jakość życia społecznego. Tekst stanowi wezwanie do krytycznej refleksji nad naszym kryzysem sensorycznym, proponując przejście od bezrefleksyjnej rejestracji decybeli do świadomego rozumienia pejzażu dźwiękowego, który nas otacza. To interdyscyplinarne spojrzenie łączy biologię, humanistykę środowiskową i politykę, rzucając nowe światło na znaczenie ciszy i dźwięku w epoce cyfrowego zgiełku.

Contemporary civilization, dominated by the cult of metrics and data, has lost its capacity for profound listening. This article attempts to restore hearing to the status of a fundamental sense, one that is not merely an aesthetic accessory but the biological foundation of our embeddedness in the world. The authors analyze the evolutionary mechanisms of hearing, the role of bioacoustics in ecology, and the devastating impact of anthropogenic noise on public health and the quality of social life. The text is a call for critical reflection on our sensory crisis, proposing a shift from the unthinking recording of decibels to a conscious understanding of the soundscape that surrounds us. This interdisciplinary perspective combines biology, environmental humanities, and politics, shedding new light on the significance of silence and sound in the age of digital noise.

Współczesna cywilizacja, opętana kultem mierzalnych wskaźników, utraciła zdolność słyszenia świata, myląc rejestrację danych z głębokim doświadczeniem bycia w rzeczywistości. Analiza Davida George'a Haskella oraz polskie regulacje prawa

sąsiedzkiego wspólnie obnażają ten kryzys percepcyjny, wskazując, że dźwięk nie jest jedynie dekoracyjnym tłem biologii czy ekonomii, lecz fundamentalnym medium organizującym życie na Ziemi. Artykuł dowodzi, że słuch stanowi najstarszą matrycę naszej orientacji w otoczeniu, a dźwięk – od ptasich treli po złożone systemy komunikacji morskiej – pełni rolę kluczowego silnika ewolucyjnego i społecznego. Autor stawia tezę, że współczesny hałas systemowy nie jest tylko irytującą niedogodnością, lecz formą brutalnej przemocy biologicznej i politycznej, która sprywatyzowała ciszę, wykluczając słabsze wspólnoty z prawa do zdrowia i spokoju. W obliczu narastającego kryzysu sensorycznego, odzyskanie kultury słuchania staje się nie tyle estetycznym wyborem, co koniecznym aktem obywatelskiego oporu i odpowiedzialności ontologicznej. Tylko poprzez uznanie dźwięku za wspólne dobro publiczne, a słuchania za praktykę etyczną, możemy uchronić nasze społeczeństwo przed autodestrukcyjną pętlą hałasu, która z każdą dekadą coraz skuteczniej zagłusza sygnały płynące z biosfery.

SŁOWA KLUCZOWE

słuch | pejzaż dźwiękowy | mechanotransdukcja | bioakustyka | polityka hałasu | ewolucja układu słuchowego | komórki rzęsate | kryzys sensoryczny | fonosfera | dobór płciowy | antropogeniczny zgiełk | ekologia behawioralna | humanistyka środowiskowa | praktyka epistemiczna | zdrowie publiczne

Biologia słuchu: fundament przedkulturowy

Żyjemy w epoce, w której ludzkość myli pomiar z rozumieniem, a rejestrację z doświadczeniem. Nasza cywilizacja, opętana kultem wskaźnika i suchym raportem, potrafi dziś bezbłędnie policzyć decybele, lecz coraz słabiej słyszy ukryty w nich sens. Właśnie dlatego teza Davida George'a Haskella zasługuje nie na kurtuazyjne przytaknięcie, lecz na intelektualną obronę z pełnym rozmachem. Dźwięk nie jest bowiem dekoracją życia ani estetycznym bonusem, dopiętym do biologii niczym luksusowy dodatek do solidnego garnituru. Stanowi on jedną z pierwotnych form organizacji relacji, a sam słuch należy do najstarszych mechanizmów poznawczego zakorzenienia organizmów w świecie. Kto sprowadza akustykę wyłącznie do działu rozrywki, ten popełnia błąd ekonomisty biorącego cenę za wartość czy antropologa mylącego obyczaj z prawdą o człowieku.

Współczesny paradygmat naukowy coraz wyraźniej potwierdza, że dźwięk stanowi uniwersalne medium organizujące życie na Ziemi. Widzimy to w ekologii behawioralnej, bioakustyce, neuronauce i polityce zdrowotnej, gdzie akustyka przestaje być marginalizowana. Hałas okazuje się w tym świetle nie tylko irytującym dyskomfortem, lecz realnym czynnikiem głębokiej degradacji biologicznej, społecznej i politycznej. Równie znamienne jest to, że książka Haskella otrzymała nagrodę Acoustical Society of America za komunikację naukową. Znalazła się również w finale nagrody Pulitzera, co nie dowodzi nieomylności autora, ale pokazuje coś znacznie ważniejszego. Jego intuicje trafiły w samo centrum współczesnej debaty o biosferze, percepcji i narastającym kryzysie sensorycznym.

Aby zrozumieć wagę tej diagnozy, trzeba zacząć tam, gdzie zwykle milknie publicystyka, bo kończy się ludzka skala wyobraźni. Początki słuchu nie leżą wszak w kulturze, nie leżą nawet w zwierzęcym uchu, lecz w pradawnej biologii komórkowej. Mechanotransdukcja, czyli proces polegający na przekształcaniu fizycznego bodźca mechanicznego w sygnał biologiczny, stanowi podstawową zasadę działania komórek rzęsatych. Współczesna biologia opisuje komórki słuchowe jako wyspecjalizowane mechanosensory, których stereocilia reagują na ruch i natychmiast przekładają go na impuls elektrochemiczny. Jest to rozwiązanie tak stare ewolucyjnie, że współczesne słyszenie wciąż zachowuje w sobie wyraźny ślad głębokiej genealogii wodnego życia.

Innymi słowy, człowiek słuchający kwartetu smyczkowego nadal korzysta z biologicznego alfabetu znacznie starszego niż jego własny gatunek. Ten alfabet wyprzedza powstanie państwa, narodziny religii i pierwsze koncepcje filozoficzne o setki milionów lat. Ten fascynujący fakt ma konsekwencję znacznie większą, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Słuch nie jest luksusową nakładką na rozum, lecz jedną z najdawniejszych matryc naszej orientacji w otaczającej rzeczywistości. To przecież nie kultura wspaniałomyślnie „dodała” dźwięk do milczącego świata, lecz samo życie bardzo wcześnie nauczyło się czytać drgania jako warunek przetrwania.

Dygresja jest tu nie tylko dozwolona, ale wręcz poznawczo konieczna, by uchwycić pełen obraz sytuacji. Gdy mówi się, że najgłębiej w uchu nadal pozostajemy istotami wodnymi, nie jest to poetycki ornament, lecz trafna intuicja ewolucyjna. Ślimak ucha wewnętrznego pozostaje strukturą wypełnioną płynem, a rozwój układu słuchowego kręgowców bezpośrednio wyrasta z dawnych rozwiązań organizmów wodnych. Przejście na ląd wymagało jednak nie stworzenia słuchu od zera, lecz niezwykle kosztownego recyklingu istniejącej anatomii. Kosteczki słuchowe ssaków są bezpośrednim wynikiem przeobrażeń dawnych elementów aparatu szczękowego, co czyni ludzkie ucho widowiskowym przykładem ewolucyjnej przebudowy.

To w istocie miniaturowe konserwatorium muzyczne, które natura bezceremonialnie zbudowała z dawnej żuchwy. Gdyby nasza cywilizacja miała tyle wyobraźni instytucjonalnej, ile ewolucja miała

wyobraźni morfologicznej, połowa ministerstw nie przypominałaby dziś magazynu martwych kompetencji. Nauka o słuchu pokazuje nam więc zarazem coś filozoficznie niewygodnego, z czym rzadko chcemy się konfrontować. Ciało nie jest czystym narzędziem ducha. Ciało jest archiwum kompromisów, a każdy akt słyszenia niesie w sobie paleontologiczną pamięć dawnych, zaginionych światów.

Akustyka zwierząt: mechanizm więzi społecznych

Rozkwit zwierzęcych dźwięków jawi się jako jedno z najpotężniejszych wydarzeń w dziejach planety. Przez eony organizmy nie budowały systemów komunikacji, chociaż środowisko kipiało od szumów żywiołów. Dopiero wyłonienie się złożonych układów odbioru i produkcji dźwięku stworzyło możliwość akustycznego życia społecznego. Wszak ciało nie jest czystym narzędziem ducha, lecz archiwum kompromisów, w którym ewolucja rzeźbiła aparaty słuchowe. Ten biologiczny wysiłek przekształcił bezładny hałas w precyzyjne narzędzie przetrwania.

W wodzie dźwięk niesie się daleko, stanowiąc dla organizmów morskich kluczowe medium orientacji. Agencja NOAA podkreśla, że dla wielu gatunków to fala akustyczna, a nie zawodne w głębinach światło, jest głównym narzędziem przeżycia. Dlatego ssaki morskie rozwinęły tak złożone systemy wokalne i echolokacyjne. Zakłócenie tego środowiska oznacza uderzenie nie w komfort, lecz w podstawową infrastrukturę życia. Niestety, ludzkość myli pomiar z rozumieniem, a rejestrację z doświadczeniem, niszcząc ten podwodny świat.

Na lądzie różnorodność sygnałów rosła wraz z rozwojem skrzydeł u owadów oraz ewolucją aparatu głosowego kręgowców. Głos stał się instrumentem doboru płciowego, ostrzegania, koordynacji i oznaczania terytorium. Życie przestało być wyłącznie niemą chemią i mechanicznym ruchem. Zaczęło być także fonosferą, czyli uporządkowaną sferą sygnałów akustycznych, w której przetrwanie zależy od interpretacji pejzażu dźwiękowego. Kto nie czyta tych wibracji, ten ginie w procesie doboru naturalnego.

Estetyka ewolucyjna: selekcja wokalna

Równie fascynujące są twórcze siły ewolucji, które Haskell opisuje z rozmachem, a nauka potwierdza na wielu frontach. Dźwięk zwierząt nigdy nie powstaje w sterylnej próżni. Modelują go właściwości środowiska, obecność drapieżników, gęstość sygnałów innych organizmów i fizjologiczne koszty wokalizacji. Wkracza tu również dobór płciowy, czyli mechanizm promujący cechy zwiększające wyłącznie atrakcyjność reprodukcyjną. W efekcie śpiew staje się kosztownym

sygnałem jakości i obiektem eskalacji estetycznej. Piękno nie jest tu luksusowym dodatkiem do biologii, lecz jej potężnym motorem.

To uderzenie w naiwny funkcjonalizm, który widziałby w naturze wyłącznie zimną efektywność. Przyroda wszak nie jest tabelą w programie Excel. W jej dziejach działa również wyrafinowany gust, nadwyżka formy, ornament i ryzyko widowiska. W końcu ciało nie jest czystym narzędziem ducha. Ciało jest archiwum kompromisów, w którym biologia nieustannie negocjuje z estetyką. Kto nie pojmuje roli piękna w ewolucji, ten nie zrozumie ptasiego trelu, ludzkiej opery, reklamy luksusowych aut ani kampanii politycznej. Te pozornie odległe sfery korzystają z tej samej prawdy formalnej. Organizmy i instytucje walczą o uwagę, a tej rzadko zdobywa się samą użytecznością.

Jeszcze bardziej rewolucyjny jest wątek rodzącej się kultury wokalnej. Badania nad uczeniem dźwiękowym dowodzą, że niektóre ptaki i ssaki nie dziedziczą gotowego repertuaru wyłącznie genetycznie. One uczą się pieśni poprzez słuchanie, zapamiętywanie, ćwiczenie i twórczą modyfikację. W tej perspektywie dźwięk staje się nośnikiem lokalnej tradycji, dialektu i międzypokoleniowej innowacji. To nie jest jeszcze kultura w ludzkim rozumieniu, ale z pewnością nie jest to już ślepy automatyzm. Taka bioakustyczna półkultura skutecznie podważa narcystyczny dogmat o absolutnej izolacji człowieka od reszty świata.

Zwierzęcy głos okazuje się nie tylko wybuchem instynktu, lecz także miejscem nauki, improwizacji i stabilizacji wzorców społecznych. W tym świetle ludzka mowa i muzyka nie spadają z nieba jako metafizyczny cud. Są one rozwinięciem zdolności, których wcześniejsze formy pozostają rozsiane w ewolucyjnej historii życia. Dlatego Haskell ma rację, odmawiając zachodniej cywilizacji prawa do traktowania zwierzęcych pejzaży akustycznych jako „hałasu natury". Zbyt często ludzkość myli pomiar z rozumieniem, a rejestrację z doświadczeniem. Prawda jest bowiem gorzka dla naszego ego: to my zazwyczaj produkujemy hałas, podczas gdy one tworzą znaczenie.

Zanieczyszczenie hałasem: degradacja biologiczna

W przypadku człowieka historia staje się jeszcze subtelniejsza, bowiem mowa i muzyka powstają na skrzyżowaniu anatomii, neurologii, środowiska oraz kultury. Współczesna genetyka nie pozwala na infantylne opowieści, jakoby pojedynczy gen magicznie stworzył język. Potwierdza wprawdzie, że FOXP2 odgrywa kluczową rolę w rozwoju sieci związanych z mową, ale to zaledwie fragment układanki. Badania nad neandertalczykami uczą ostrożności, udowadniając, że sama obecność tego genu nie rozstrzyga o ich zdolności do mówienia. Ewolucję komunikacji musimy zatem rekonstruować, łącząc dane genetyczne, anatomiczne i archeologiczne. Taka wstrzemięźliwość wcale nie osłabia głównej tezy.

Uczy nas ona, że ludzka wokalność nie jest cudem, lecz złożonym rezultatem zmian ewolucyjnych. Obejmują one przebudowę aparatu głosowego, kontrolę oddechu, pamięć słuchową oraz korowe sterowanie ruchem. Ciało nie jest czystym narzędziem ducha. Ciało jest archiwum kompromisów, dzięki którym staliśmy się zwierzęciem potrafiącym tak dalece panować nad wydechem. Zamieniliśmy powietrze w prawo, poezję, rozkaz, modlitwę, giełdę i pieśń żałobną. To niewiarygodne osiągnięcie stanowi zarazem początek naszych ambiwalencji. Ten sam gatunek, który potrafi śpiewać Bacha, potrafi bezlitośnie zagłuszyć ocean.

Ludzka muzyka wymaga osobnego namysłu, ponieważ to w niej widać, że dźwięk pozostaje kategorią zarazem biologiczną i cywilizacyjną. Muzyka wszak nie zaczyna się od partytury, lecz wyłania się z ciała. Rytm sprzęga się z oddechem, krokiem i tętnem, podczas gdy rezonans wibruje w kościach. Melodia organizuje uwagę i emocje, a dopiero później pojawiają się instrumenty, sale koncertowe, systemy stroju czy ekonomia prestiżu. Haskell słusznie podkreśla, że nasza wyjątkowość nie polega wyłącznie na zdolnym do śpiewu gardle. Polega również na umiejętności przekształcania materii i przestrzeni akustycznej.

Pierwsze flety z paleolitu nie są zatem jedynie zabytkiem sztuki. Stanowią dowód, że człowiek zaczął produkować narzędzia służące nie tylko polowaniu, lecz także modulacji tego, co niewidzialne. Istotniejsze jest to, że instrumenty wykonane z drewna, kości, żywic i metalu są dosłownie kondensatami biosfery. Orkiestra nie jest przeciwieństwem natury, toteż staje się jej wysublimowanym przedłużeniem. Słuchając oboju, słyszymy nie tylko muzyka, lecz również długą historię drewna, rzemiosła i selekcji materiału. To nie jest sentymentalizm, ale czysta ontologia artefaktu. Każdy instrument to mały parlament materii.

Kryzys percepcyjny: przebodźcowanie cywilizacyjne

I właśnie w tym miejscu musimy zadać pytanie, którego konformistyczna nowoczesność unika jak ognia. Skoro dźwięk stanowi dobro relacyjne, a słuch jest warunkiem naszego uczestnictwa w świecie, to co właściwie robimy, niszcząc pejzaże dźwiękowe? Ekonomia głównego nurtu zwykła traktować hałas jako negatywny efekt zewnętrzny, czyli po prostu koszt uboczny działalności gospodarczej. Taka definicja jest wprawdzie technicznie poprawna, lecz zarazem żałośnie niewystarczająca do opisania skali zjawiska. Hałas nie jest bowiem żadną „zewnętrznością", którą można zignorować w arkuszu kalkulacyjnym.

Stanowi on bezpośredni zamach na zdolność żywych organizmów do komunikacji, orientacji w przestrzeni, reprodukcji i elementarnego odpoczynku. Światowa Organizacja Zdrowia wprost uznaje go za krytyczny środowiskowy czynnik ryzyka. Z kolei Europejska Agencja Środowiska

wylicza, że długotrwałe narażenie na zgiełk transportowy przynosi ponure żniwo w postaci przedwczesnych zgonów, chorób sercowo-naczyniowych czy cukrzycy typu drugiego. Ciało nie jest czystym narzędziem ducha. Ciało jest archiwum kompromisów, a te wymuszone przez hałas okazują się wyjątkowo toksyczne. To są twarde dane, które obnażają brutalną prawdę o nierównościach środowiskowych; wszak późny kapitalizm sprywatyzował ciszę, a uspołecznił hałas, zostawiając biedniejszym ryk obwodnicy.

W oceanach ta akustyczna opresja przybiera jeszcze bardziej bezwzględną formę. Amerykańska agencja NOAA bezlitośnie wskazuje, że antropogeniczny zgiełk drastycznie upośledza zdolność zwierząt morskich do słyszenia i nawigacji. Skutki tego zjawiska bywają natychmiastowe i śmiertelne, nierzadko też kumulują się w czasie, prowadząc do powolnej degradacji całych ekosystemów. Dźwięki generowane przez globalną żeglugę czy wojskowe sonary bezpardonowo nakładają się na pasma używane przez wieloryby do komunikacji. Z perspektywy prawa ochrony środowiska to klasyczny, wręcz podręcznikowy przykład kolonizacji wspólnego medium przez uprzywilejowanych użytkowników przemysłowych. Mówiąc prościej, potraktowaliśmy ocean jak cudzy pokój hotelowy, w którym odpaliliśmy generator na pełny regulator, a teraz dziwimy się bezsenności gospodarzy.

Tę samą drapieżną logikę widać zresztą na lądzie, gdzie przestrzeń akustyczna stała się kolejnym polem bitwy o zasoby. Współczesne metropolie projektuje się często w taki sposób, jakby brak hałasu stanowił wyłącznie prywatny towar w wersji premium. Tymczasem zrównoważony pejzaż dźwiękowy nie jest fanaberią, lecz elementarnym dobrem cywilizacyjnym, bez którego trudno mówić o zdrowym społeczeństwie. Podobnie jak jakość powietrza, cisza nie powinna być przywilejem przypisanym do nieruchomości o najwyższej rynkowej wartości. Musi ona stanowić część absolutnego minimum egzystencjalnego, które każda rozsądna wspólnota polityczna gwarantuje swoim obywatelom.

Muzyka: synteza biologii i technologii

W tym właśnie miejscu filozofia słuchania Haskella zbiega się z najbardziej przenikliwymi intuicjami współczesnej humanistyki środowiskowej, udowadniając, że słuchanie nie jest wyłącznie biernym aktem sensorycznym. Jest ono przede wszystkim głęboką praktyką epistemiczną, czyli sposobem uzyskiwania wiedzy o świecie, a zarazem praktyką etyczną i polityczną, decydującą o tym, czyje głosy są w ogóle dopuszczane do dyskursu. Dlatego teza, że kryzys ekologiczny stanowi w istocie kryzys percepcyjny, nie jest jedynie ozdobnym paradoksem, lecz twardym rozpoznaniem strukturalnym naszej rzeczywistości. Społeczeństwo, które przestaje słyszeć szum rzek, śpiew

ptaków oraz głosy marginalizowanych wspólnot, traci kluczowe sprzężenie zwrotne i przestaje rozumieć koszty własnej reprodukcji materialnej. A system pozbawiony tego sprzężenia nieuchronnie wpada w autodestrukcyjną pętlę, co ekonomia nazwie katastrofą informacyjną, ekologia kolapsem, a etyka moralnym znieczuleniem.

Przeszukując zasoby analityczne, natrafiłem na witrynę Fundacji Dobre Państwo, gdzie w tekście „Zmowa niedziałania" odnalazłem niezwykle ważny trop aksjologiczny. Pojawia się tam bezkompromisowa krytyka antyekologicznego cynizmu oraz wyraźnie sformułowana teza, że pod żadnym pozorem nie wolno nam gardzić ekologią ani ideą wspólnotowości. Choć tekst ten nie stanowi jeszcze pełnoprawnego manifestu akustycznego, to zaprezentowane w nim stanowisko pozostaje głęboko spójne z linią argumentacyjną Haskella. Wynika to z faktu, że autentyczna obrona środowiska nie może ograniczać się wyłącznie do chemii, ton emisji czy suchych wskaźników finansowych. Musi ona bezwzględnie objąć także zmysłowe warunki naszego życia, w tym fundamentalne prawo wspólnot do niebycia permanentnie zagłuszanymi przez przemysłową machinę. Innymi słowy, mądra polityka środowiskowa nie chroni jedynie abstrakcyjnej biomasy, ale przede wszystkim samą możliwość istnienia słyszalnego świata.

Na tym etapie rozważań zasadnicza teza całego artykułu może i powinna zostać sformułowana bez jakiejkolwiek asekuracji. Słuch jest jednym z absolutnych filarów ontologii relacyjnej życia, czyli rozumienia rzeczywistości poprzez sieć wzajemnych powiązań, a niszczenie pejzaży dźwiękowych to po prostu forma brutalnej przemocy biologicznej i politycznej. Kto próbuje redukować tę fundamentalną sprawę wyłącznie do sentymentalnej troski o śpiew ptaków, ten intelektualnie nie dorósł do skali problemu. Chodzi bowiem o to, czy cywilizacja człowieka pozostanie zdolna do odbioru sygnałów z rzeczywistości, czy też zabuduje się we własnym huku, aż pomyli swój monolog z prawem natury. Historia zna takie przypadki aż nadto dobrze, gdyż imperia i korporacje niemal zawsze zaczynały swój upadek od tego, że z pychą przestawały słyszeć innych. Reszta tego procesu była już tylko logistyką katastrofy, co potwierdza starą prawdę: kto nie umie słuchać, ten będzie źle rządził.

Skoro dotychczasowa argumentacja prowadziła ku tezie, że słuch jest najstarszym narzędziem zakorzenienia życia w rzeczywistości, teraz trzeba powiedzieć rzecz znacznie bardziej drażniącą dla naszego antropocentryzmu. Rozkwit zwierzęcych dźwięków w żadnym wypadku nie był jedynie poboczną ornamentyką ewolucji, lecz jednym z jej największych, najbardziej wydajnych silników organizacyjnych. Dźwięk bowiem nie tylko biernie opisuje toczące się życie, ale w sposób aktywny je współwytwarza we wszystkich formach społecznych, terytorialnych i poznawczych. To właśnie dlatego świat przyrody nie jest chaotycznym zbiorem odizolowanych organizmów, lecz wysoce zorganizowaną, dynamiczną republiką sygnałów. Tam, gdzie salonowy liberał widzi uroczy „śpiew

ptaków", biolog ewolucyjny dostrzega kosztowny mechanizm selekcji, neurolog widzi wyspecjalizowaną architekturę percepcyjną, a ekonomista powinien zobaczyć system wymiany informacji, w którym zakłócenie medium pociąga za sobą kaskadę strat.

W środowisku morskim te zależności widać z wyjątkową ostrością, ponieważ ocean jest światem, w którym dźwięk pełni funkcję niemal konstytucyjną dla samego istnienia życia. Amerykańska agencja NOAA podkreśla, że dla ogromnej rzeszy zwierząt morskich dźwięk jest głównym narzędziem przetrwania, gdyż światło penetruje wodę tylko na bardzo ograniczoną głębokość. Natomiast fale akustyczne przenoszą się w gęstym środowisku oceanicznym znacznie szybciej i dalej niż w powietrzu, nierzadko pokonując odległości obejmujące całe baseny oceaniczne. Wieloryby, delfiny i morświny w stu procentach polegają na dźwięku, aby komunikować się, orientować w przestrzeni, znajdować partnerów do rozrodu oraz unikać drapieżników. Akustyka oceanu nie jest zatem luksusowym dodatkiem do ekologii morza, lecz jednym z jej absolutnie podstawowych warunków możliwości. Kto bezmyślnie narusza oceaniczny krajobraz dźwiękowy, ten nie tylko „przeszkadza przyrodzie", ale bezpośrednio podważa elementarną infrastrukturę komunikacyjną ekosystemu.

Ta brutalna prawda staje się jeszcze bardziej przejrzysta, gdy przechodzimy od analizy biologii funkcjonalnej do głębokiej biologii ewolucyjnej. Dźwiękowe strategie zwierząt nie są zjawiskiem statycznym, lecz powstają jako precyzyjna odpowiedź na bezlitosną presję środowiska fizycznego oraz innych organizmów. Środowisko akustyczne nie jest pustym kontenerem, lecz niezwykle rygorystycznym filtrem, w którym częstotliwości i rytmy są modelowane przez ukształtowanie terenu, roślinność, wiatr czy ryzyko drapieżnictwa. W tej perspektywie zwierzęcy śpiew nie jest swobodną „ekspresją" w banalnym sensie psychologicznym, ale wynikiem wielopiętrowej optymalizacji. Organizm musi jednocześnie zostać usłyszanym przez właściwego odbiorcę, nie zostać namierzonym przez wroga, nie roztrwonić energii i wpisać się w lokalny reżim akustyczny. Przyroda nie improwizuje bez reguł, lecz nieustannie komponuje pod presją, a każdy krajobraz jest zarazem salą koncertową i bezlitosnym sądem selekcyjnym.

Tutaj dochodzimy do jednej z najciekawszych intuicji Haskella, która znakomicie współgra ze współczesnym stanem wiedzy naukowej o ewolucji. Twórcze siły natury wcale nie ograniczają się do mechanicznie pojętej adaptacji użytkowej i doboru naturalnego, różnicującego sukces reprodukcyjny organizmów. Tuż obok działa bowiem dobór płciowy, czyli proces, w którym dana cecha rozprzestrzenia się w populacji z tego prostego powodu, że zostaje uznana za atrakcyjną przez potencjalnych partnerów. To pozornie techniczne rozróżnienie ma znaczenie niemal metafizyczne, pokazując dobitnie, że piękno nie jest jedynie luksusowym marginesem biologii, ale bywa jej głównym czynnikiem sprawczym. Wokalne ornamenty, komplikacje ptasich melodii, rytmiczna

brawura i pozorna rozrzutność mogą być właśnie tym, co najsilniej napędza selekcję. Estetyka działała więc z pełną mocą w świecie na długo przed powstaniem filozofów, a życie miało swój wyrafinowany gust, zanim człowiek zaczął pisać traktaty o pięknie.

Ten zaskakujący wniosek ma dalekosiężne konsekwencje, uderzając w nowoczesny przesąd, wedle którego tylko to, co użytkowe, jest realne, a to, co piękne, jest zaledwie opcjonalnym dodatkiem. Prawda jest dokładnie odwrotna znacznie częściej, niż chcieliby to przyznać zgorzkniali księgowi naszej rzeczywistości. W bezlitosnym świecie zwierząt kosztowna pieśń może być bardziej skuteczną walutą doboru niż czysta funkcjonalność, a w skomplikowanym świecie ludzi bywa podobnie, choć w formach bardziej perwersyjnych. Marki luksusowe, państwowe ceremonie, hymny, reklama polityczna i muzyka zbiorowej mobilizacji działają z taką siłą dlatego, że poruszają w nas coś starszego niż chłodna kalkulacja. Człowiek wcale nie wyrósł ponad akustyczną estetykę ewolucji, lecz po prostu ją sformalizował i zmonopolizował w kulturze wysokiej, propagandzie i rynkowym rytuale. Niestety, ludzkość myli pomiar z rozumieniem, a rejestrację z doświadczeniem, zapominając o swoich głębokich, dźwiękowych korzeniach.

Dlatego też ludzka muzyka nie jest żadnym dramatycznym zerwaniem z naturą, lecz jej spektakularnym, logicznym rozwinięciem. To teza, której trzeba bronić z całą mocą, bo stanowczo zbyt długo tkwiliśmy w infantylnym dualizmie, jak gdyby koncert był czymś ontologicznie wrogim lasowi, a fortepian stanowił antytezę biosfery. Muzyka ludzka jest wysoce rozwiniętą postacią ewolucyjnego dziedzictwa słuchu, ale zarazem pozostaje głęboko, materialnie zakorzeniona w świecie pozaludzkim. Instrument nie jest abstrakcją, lecz zorganizowaną materią: drewnem rezonansowym, kością, metalem, napiętą skórą, wibrującą struną i słupem powietrza w tubie. Cała ta skomplikowana ekonomia brzmienia przypomina nam dobitnie, że koncert nie odbywa się ponad przyrodą, lecz wyłącznie dzięki jej przetworzonym zasobom. Haskell trafnie ujmuje ten paradoks, sugerując, że w instrumentach współbrzmią dawne lasy i minerały ziemi, co nie jest ozdobną metaforą, lecz opisem prawdziwej genealogii dźwięku.

Jednocześnie trzeba uczciwie przyznać, że ludzka muzyka jest czymś znacznie więcej niż tylko zwielokrotnioną wokalizacją inteligentnego ssaka. Człowiek wyróżnia się tym, że potrafi z niesamowitą precyzją projektować i przebudowywać zarówno same źródła dźwięku, jak i fizyczne przestrzenie służące do słuchania. Od paleolitycznych fletów po nowoczesne sale koncertowe, od jaskiniowego rezonansu po elektroakustyczne modelowanie przestrzeni, człowiek nie tylko wytwarza dźwięk, ale z żelazną konsekwencją instytucjonalizuje jego obieg. W języku nauk społecznych muzyka jest jednym z najstarszych urządzeń koordynacji afektywnej, czyli potężnym mechanizmem służącym do synchronizacji emocji, uwagi i pamięci w obrębie wspólnoty. Nie jest przypadkiem, że muzyka od zawsze towarzyszy rytuałowi, wojnie, weselu, protestowi, liturgii i

pogrzebowi. Tam, gdzie trzeba zespolić jednostki w rytm, pojawia się dźwięk, a tam, gdzie władza chce przekształcić tłum w posłuszne ciało polityczne, niemal zawsze sięga po akustykę.

Prawo sąsiedzkie: regulacja emisji dźwięku

I tu zaczyna się znacznie ciemniejsza strona nowoczesności, w której ten sam gatunek, który wywindował muzykę do poziomu niezwykłej złożoności symbolicznej, stał się zarazem bezprecedensowym producentem hałasu systemowego. Współczesny kryzys dźwiękowy nie polega bowiem wyłącznie na tym, że świat wokół nas jest po prostu głośniejszy, ale na tym, że dominujące formy hałasu mają charakter głęboko strukturalny, a ich ciężar jest redystrybuowany skrajnie nierówno. Światowa Organizacja Zdrowia wprost wskazuje, że hałas stał się krytycznym środowiskowym czynnikiem ryzyka, który bezlitośnie dewastuje nasze organizmy, zakłócając architekturę snu i prowadząc do fatalnych skutków sercowo-naczyniowych, metabolicznych oraz poznawczych. Szacunki dla Unii Europejskiej są w tym kontekście porażające, wszak mówią o stu milionach ludzi narażonych na toksyczny poziom hałasu drogowego oraz o blisko czterystu tysiącach utraconych zdrowych lat życia każdego roku. To już dawno przestało być błahym tematem dla rubryki o stylu życia czy uroczych apeli o wyłączanie telefonu przed snem, stając się fundamentalną kwestią zdrowia publicznego, sprawiedliwości przestrzennej i odpowiedzialności państwa za kształt infrastruktury.

Warto zatrzymać się przy pojęciu sprawiedliwości środowiskowej, czyli koncepcji zakładającej taką dystrybucję ryzyk i kosztów, w której żadna słabsza grupa nie jest systemowo obciążana szkodami. Obnaża ona klasową i polityczną naturę współczesnego zanieczyszczenia dźwiękiem, gdzie hałas stanowi podręcznikowy, niemal krystaliczny przykład przemocy rozproszonej, przed którą niezwykle trudno się obronić. Lotniska, wielopasmowe arterie, węzły logistyczne i ciężka infrastruktura komunikacyjna jakoś dziwnym trafem rzadko lądują w bezpośrednim sąsiedztwie osiedli dla najbogatszych. Przez to cisza staje się luksusowym towarem premium, a milczenie sąsiedztwa zostaje bezwzględnie włączone do rynkowej wyceny luksusowych nieruchomości. Zyski z globalnej mobilności i akumulacji kapitału oznaczają dla słabszych chroniczną deprywację snu oraz spadek sprawności poznawczej, wszak ciało nie jest czystym narzędziem ducha, lecz archiwum kompromisów. Mówiąc brutalnie i wprost, późny kapitalizm po prostu sprywatyzował ciszę, a uspołecznił hałas.

Jeżeli ktoś uznaje tę diagnozę za zbyt radykalną lub przesyconą publicystyką, wystarczy na chwilę opuścić ląd i zanurzyć się w oceanie, gdzie według agencji NOAA człowiek wtłacza gigantyczne ilości przemysłowego dźwięku. Potencjalne skutki tego akustycznego terroru obejmują trwałą

utratę słuchu u zwierząt, potężne reakcje stresowe, wypieranie z preferowanych siedlisk oraz dramatyczne zakłócenia podstawowej komunikacji wewnątrzgatunkowej. Badacze zwracają przy tym uwagę, że te destrukcyjne efekty mogą uderzać natychmiastowo albo podstępnie narastać kumulatywnie w czasie, tworząc ostatecznie niewidzialną sieć nieodwracalnych ekologicznych zniszczeń. Używając chłodnego aparatu pojęciowego ekonomii politycznej, można z całą stanowczością stwierdzić brutalną asymetrię między beneficjentem działań a nośnikiem ich kosztów. Przemysł transportowy, wydobywczy i wojskowy czerpie gigantyczne zyski ze zwiększonej przepustowości, podczas gdy rachunek w postaci zniszczonych habitatów płacą organizmy pozbawione jakiejkolwiek reprezentacji prawnej. To nie jest zwykły efekt uboczny, który można zbyć wzruszeniem ramion, lecz rozległa strefa milczącej ofiary, cynicznie i trwale wpisana w nasz model gospodarczego wzrostu.

Cisza: od dobra publicznego do towaru premium

Z tego właśnie powodu filozofia słuchania nie stanowi jedynie miękkiego dodatku do ochrony przyrody, lecz jest jej absolutnie koniecznym fundamentem. David Haskell ma całkowitą rację, gdy sugeruje, że współczesny kryzys ekologiczny to w równej mierze głęboki kryzys zmysłowy. Człowiek późnej nowoczesności oduczył się bezpośredniego doświadczania świata, wybierając w zamian medialne protezy, cyfrowe filtry i starannie wygładzone reprezentacje rzeczywistości. Chcemy słuchać kojących „dźwięków lasu”, lecz najlepiej w formie wyczyszczonego pliku audio, z którego wycięto warkot silników i wszelkie ślady tego, co faktycznie uczyniliśmy środowisku. To nic innego jak perfekcyjny akustyczny odpowiednik politycznego greenwashingu, w którym estetyka zostaje oddzielona od prawdy, a wzruszenie od odpowiedzialności. Otrzymujemy naturę uspokajającą, toteż taka praktyka nie buduje etyki, lecz wyłącznie sedację sumienia.

W tym miejscu potrzebna jest pewna dygresja, choć w istocie ma ona charakter czysto pozorny. Czytanie również należy do szerokiego porządku słuchania, ponieważ tekst to nic innego jak utrwalona, zamrożona w czasie architektura głosu. Pismo wcale nie unieważnia dźwięku, lecz precyzyjnie go krystalizuje, zmuszając nas do rekonstrukcji rytmu, kadencji oraz melodii frazy w korze mózgowej. Wielkie teksty żyją zatem nie tylko przez swoje znaczenie, ale przede wszystkim przez fizyczne brzmienie myśli. Jest to kluczowe dla zrozumienia problemu, wszak współczesna ludzkość myli pomiar z rozumieniem, a rejestrację z doświadczeniem. Słuchanie jest bowiem specyficznym typem uwagi skierowanej ku inności, dzięki czemu ten, kto naprawdę potrafi nadstawić ucha, bezpowrotnie przestaje być absolutnym centrum wszechświata.

Właśnie dlatego głębokie doświadczenie piękna może prowadzić do fundamentalnego, moralnego przesunięcia w naszej świadomości. Podążając za błyskotliwą intuicją Iris Murdoch, można stwierdzić, że uważne słuchanie bywa praktyką odjaźnienia, czyli chwilowego osłabienia bezwzględnej tyranii ego. Człowiek wsłuchany w śpiew ptaka, szum rzeki czy kwartet smyczkowy przestaje być wyłącznie zachłannym konsumentem bodźców, stając się pełnoprawnym uczestnikiem żywej relacji. W takim układzie jego własne „ja" traci status jedynego punktu odniesienia, co nadaje samemu aktowi słuchania potężny potencjał etyczny. Nie dzieje się tak dlatego, że dźwięk magicznie czyni nas lepszymi ludźmi, lecz dlatego, że brutalnie uczy nas ograniczenia własnej centralności. Przecież zdecydowana większość współczesnych katastrof bierze się prosto z narcystycznej inflacji gatunku, klasy albo państwa, które arogancko uznają własny głos za jedyny mający znaczenie.

Głuchota na naturę: etyczny deficyt uwagi

W świetle współczesnego paradygmatu naukowego myśl Haskella nie jest egzotycznym romantyzmem, lecz trafnym ruchem integrującym rozproszone linie badawcze. Bioakustyka bezlitośnie potwierdza, że dźwięk to krytyczne medium dla niezliczonych organizmów, a neuronauka dowodzi, iż słuchanie angażuje potężne układy percepcyjne. Z kolei medycyna środowiskowa dokumentuje zdrowotny ciężar hałasu, podczas gdy ekologia krajobrazu rozwija metody analizy soundscape'u, czyli pejzażu dźwiękowego rozumianego jako współwystępowanie źródeł biologicznych, geofonicznych i antropogenicznych. Nauki społeczne widzą w hałasie problem władzy i nierówności. Haskell nie zastępuje więc nauki poezją, lecz przypomina o fundamentalnej prawdzie. Zbyt często bowiem ludzkość myli pomiar z rozumieniem, a rejestrację z doświadczeniem, toteż jego siła polega na przywróceniu nauce zdolności mówienia o stawkach.

Z tego punktu widzenia zadanie stojące przed współczesną polityką wykracza poza zwykłe ograniczanie decybeli, stając się próbą odbudowy kultury słuchania jako niezbywalnego dobra publicznego. Musimy uznać, że pejzaż dźwiękowy jest wspólnym zasobem, a nie neutralnym tłem dla inwestycji; wszak późny kapitalizm sprywatyzował ciszę, a uspołecznił hałas. Planowanie przestrzenne powinno zatem uwzględniać nie tylko rentowność parceli, ale również zdrowie akustyczne wspólnot ludzkich i nieludzkich. Prawo środowiskowe musi zacząć rozpoznawać kumulatywne skutki hałasu, zamiast traktować je jako rozproszoną niedogodność bez konkretnego sprawcy. Edukacja estetyczna nie może funkcjonować w oderwaniu od świadomości ekologicznej. Nie wystarczy uczyć dzieci muzyki w wygłuszonych salach, jeśli równolegle skazujemy je na życie w świecie tracącym własne brzmienie.

Słuchanie jest w swojej istocie głębokim aktem obywatelskim, niemającym absolutnie nic wspólnego ze ślepym posłuszeństwem. Kto uważnie słucha, ten odbiera subtelne sygnały rzeczywistości, których nie da się zamknąć w kwartalnej statystyce. Zaczyna on rozumieć, że środowisko to gęste pole relacji, a nie tylko darmowy magazyn surowców. Taki człowiek nie przegapi nadciągającej katastrofy, ponieważ ta rzadko objawia się najpierw jako czerwony wykres, przychodząc raczej jako powolny zanik. Objawia się jako milknące owady i rzadszy śpiew ptaków, które są systematycznie zagłuszane przez chroniczny szum betonowych arterii. Akustyczne barbarzyństwo ma bowiem tę przerażającą cechę, że normalizuje się niemal bez oporu, a ludzie przywykają do zagłuszenia niczym do instytucjonalnego kłamstwa.

Ta teza musi ostatecznie wybrzmieć bez żadnego dyplomatycznego półtonu, ponieważ obrona dźwiękowej różnorodności świata nie jest zajęciem dla sentymentalnych estetów. Stanowi ona twardy element obrony warunków naszego życia, zdrowia i prawdy o całkowitej zależności od biosfery. Słuchanie nie jest miękką kompetencją z podręczników, lecz brutalnie weryfikowaną formą cywilizacyjnej inteligencji. Gatunek, który ignoruje głosy innych organizmów i ostrzeżenia płynące z krajobrazu, staje się strukturalnie głupi. Nasza fizjologia nie potrafi zresztą ignorować tego naporu, bezlitośnie rejestrując każdy decybel jako fizyczny stres. Głupota uzbrojona w nowoczesną technologię i potężny kapitał brzmi dziś po prostu głośniej niż kiedykolwiek w historii.

Słuchanie: obywatelski wymiar polityki

W punkcie, do którego właśnie dotarliśmy, nie wystarcza już ani sama biologia, ani wyizolowana estetyka, ani doraźna polityka ochrony środowiska. Musimy wykonać ruch bardziej wymagający intelektualnie i zdecydowanie mniej komfortowy aksjologicznie. Należy uznać, że słuchanie stanowi ustrojową kategorię życia, a nie jedynie zmysłową funkcję organizmu. Słuchanie to głęboko relacyjna praktyka, dzięki której organizmy, wspólnoty i całe ekosystemy utrzymują zdolność reagowania na różnicę. Sama różnica zaś stanowi absolutny rdzeń wszelkiego życia. Żywe jest wszak to, co odróżnia, co aktywnie reaguje, co potrafi wyselekcjonować sygnał z wszechobecnego szumu i zmodyfikować swoje działanie. W tym ujęciu słuch przestaje być tylko jednym ze zmysłów. Staje się jedną z najważniejszych technologii ontologicznych życia.

Współczesna nauka dostarcza tej intuicji twardego aparatu pojęciowego. Ekologia pejzażu dźwiękowego, czyli dziedzina badająca akustyczne relacje między organizmami a ich środowiskiem, traktuje krajobraz nie jako nieme tło, lecz jako złożoną konfigurację trzech elementów. Są to biofonia, geofonia oraz antrofonia, oznaczające odpowiednio dźwięki istot żywych, zjawisk geofizycznych i aktywności człowieka. To rozróżnienie pozwala zrozumieć, że każdy krajobraz

posiada własną strukturę informacyjną, a zatem również własną podatność na zniszczenie i zdolność do regeneracji. Kiedy antrofonia zaczyna brutalnie dominować nad biofonią i geofonią, nie dzieje się po prostu to, że wokół nas „jest głośniej". Dzieje się coś znacznie bardziej radykalnego. Dochodzi do przejęcia wspólnego medium przez jeden typ sprawcy, co oznacza bezwzględną kolonizację zasobu relacyjnego przez uprzywilejowanego użytkownika.

Nie inaczej wyglądało zresztą wiele historycznych procesów zawłaszczania ziemi, rzek czy przestrzeni informacyjnej. Najpierw pewien dominujący podmiot ogłasza, że mamy do czynienia z całkowicie neutralnym medium. Następnie przejmuje pełną kontrolę nad jego użyciem. Na końcu zaś wmawia reszcie społeczeństwa, że powstałe szkody są jedynie nieuniknionym kosztem postępu. Pejzaż dźwiękowy nie jest od tej drapieżnej logiki wolny. W tym kontekście można wręcz zaryzykować twierdzenie, że późny kapitalizm sprywatyzował ciszę, a uspołecznił hałas.

Szczególnej ostrości w tej dyskusji nabiera samo pojęcie ciszy, która nie jest przecież prostym brakiem dźwięku. W naukach o zdrowiu środowiskowym coraz wyraźniej rozumie się ją jako absolutny warunek możliwości rozpoznawania sygnału, odzyskiwania równowagi fizjologicznej oraz utrzymania jakości relacji z otoczeniem. Cisza nie oznacza sterylnej, martwej pustki akustycznej. Oznacza raczej taką strukturę środowiska, w której docierające do nas dźwięki niosą znaczenie zamiast opresyjnego przymusu. Z tego właśnie powodu obrona ciszy nie jest naiwnym projektem eskapistycznym, lecz twardym programem obrony warunków poznania i ludzkiego zdrowia. Europejska Agencja Środowiska bezlitośnie podkreśla, że hałas transportowy pozostaje jednym z głównych środowiskowych czynników ryzyka w Europie. Generuje on rocznie około 1,3 miliona utraconych zdrowych lat życia i przynosi straty ekonomiczne rzędu 95,6 miliarda euro, co odpowiada 0,6 procent PKB regionu.

Ten suchy język finansowych kosztów bywa dla humanistyki niezwykle niezręczny, ale czasem właśnie on najskuteczniej kompromituje polityczną bierność decydentów. Tam, gdzie nie dociera subtelny argument etyczny, warto wpuścić brutalny argument fiskalny. Hałas to nie tylko codzienna brutalność wobec biologicznego życia. Hałas to także niewyobrażalnie drogi idiotyzm systemowy, za który płacimy z publicznych pieniędzy. Światowa Organizacja Zdrowia wprost wskazuje, że długa ekspozycja na hałas wiąże się z zaburzeniami snu, chroniczną irytacją oraz szeregiem groźnych skutków sercowo-naczyniowych. Problem ten silnie koreluje z nierównościami społecznymi.

To wszystko oznacza, że pejzaż dźwiękowy staje się na naszych oczach pełnoprawną kategorią prawa do zdrowia. Prawo do niebycia systemowo zagłuszanym powinno zostać wreszcie uznane za jeden z kluczowych komponentów nowoczesnego minimum cywilizacyjnego. Tak jak wywalczyliśmy prawo do czystej wody i powietrza nieskażonego toksycznym pyłem, tak również

prawo do zrównoważonego środowiska akustycznego należy wpisać do katalogu dóbr podstawowych. Mówimy tu o środowisku, które nie rozbija nocnego snu, nie niszczy dziennej koncentracji i nie rujnuje elementarnej równowagi nerwowej. Kto uważa, że to zbyt śmiała teza, ten najwyraźniej nie zrozumiał jeszcze fundamentalnej prawdy o naszej biologii. Zdrowie publiczne nie jest bowiem prostą sumą szpitalnych procedur medycznych, lecz mądrą organizacją codziennych warunków życia.

Sprawiedliwość środowiskowa: akustyka przestrzeni

Filozofia słuchania, którą tak żarliwie proponuje Haskell, zderza się dziś z fundamentalnym problemem naszej epoki, mianowicie z głębokim kryzysem reprezentacji zmysłowej. Żyjemy wszak w kulturze, która z obsesyjną wręcz dokładnością mnoży cyfrowe dane o fizycznym świecie, ale jednocześnie drastycznie osłabia nasz bezpośredni, cielesny kontakt z rzeczywistością. W odniesieniu do zjawiska dźwięku przybiera to postać szczególnie przewrotną, a nierzadko wręcz tragiczną. Z jednej strony obserwujemy niebywały wzrost technicznego potencjału monitorowania środowisk akustycznych, modelowania pejzaży dźwiękowych czy automatycznego rozpoznawania gatunków. Z drugiej jednak strony sam człowiek, zamiast być świadomym wykonawcą tych aparatów słyszenia, staje się ich całkowicie pasywnym, wyalienowanym użytkownikiem. To wielka ambiwalencja naszej nowoczesności, w której narzędzia teoretycznie rozszerzają nasz zasięg percepcyjny, lecz w praktyce kuszą, by ostatecznie zwolnić nas z trudnego obowiązku fizycznej obecności.

Haskell z pewnością nie jest naiwnym luddystą, toteż nie ma najmniejszego powodu, by odczytywać jego intencje w tak spłycony sposób. Upomina się on raczej o elementarną zasadę, wedle której technika ma rozszerzać ludzką uwagę, a nie bezwzględnie ją zastępować. Gdy bowiem monitoring akustyczny staje się wygodnym substytutem autentycznego słuchania, ludzkość myli pomiar z rozumieniem, a rejestrację z doświadczeniem. Wtedy właśnie wiedza niebezpiecznie oddala się od przeżycia, a samo doświadczenie od moralnej odpowiedzialności. Ta z pozoru czysto filozoficzna uwaga ma w rzeczywistości potężną wagę metodologiczną dla całej współczesnej nauki. Znajduje się ona dziś pod niezwykle silną, rynkową presją całkowitej automatyzacji procesów poznawczych, co dotyczy w równym stopniu bioakustyki, jak i ekologii krajobrazu dźwiękowego.

Rozpoznawanie skomplikowanych wzorców przez zaawansowane algorytmy jest bez wątpienia potężnym narzędziem badawczym, niemniej nie wolno nam mylić technicznej detekcji z głębokim rozumieniem ani suchej klasyfikacji z żywą etyką. Algorytm może precyzyjnie wskazać, że udział antrofonii w danym lesie drastycznie wzrósł, że konkretny gatunek ptaka wokalizuje rzadziej albo

że sygnały o określonej częstotliwości bezpowrotnie zanikają. Nie odpowie on jednak sam z siebie na fundamentalne pytanie, jaką właściwie wartość ma utrata tego konkretnego brzmienia dla całej wspólnoty życia. Nie zmierzy znaczenia tej straty dla pamięci danego miejsca, dla lokalnej kultury, dla odwiecznych praktyk zamieszkiwania czy wreszcie dla naszego intymnego poczucia bycia w świecie. Tu właśnie, na styku twardych danych i ludzkiej wrażliwości, zaczyna się kluczowa rola nauk humanistycznych, społecznych oraz prawnych. One absolutnie nie mają zastąpić biologii w jej zadaniach, lecz mają wydobyć prawdziwą stawkę tego, co biologia jedynie chłodno mierzy. Bez tej humanistycznej ramy stajemy się cywilizacją, która potrafi z przerażającą precyzją opisać tempo własnej degradacji, lecz nie potrafi już nadać jej właściwej, moralnej nazwy.

Krótka dygresja prowadzi nas w tym momencie do Japonii, przy czym nie traktujmy tego jako egzotycznej pocztówki z wakacji, lecz jako niezwykle poważną lekcję dojrzałej polityki kulturowej. Program „100 pejzaży dźwiękowych Japonii", zainicjowany przez tamtejsze Ministerstwo Środowiska w 1996 roku, miał na celu zachęcanie obywateli do rozpoznawania i systemowej ochrony charakterystycznych dźwięków konkretnych miejsc. Obejmował on zarówno przestrzenie na wskroś naturalne, jak i te głęboko przesiąknięte ludzką kulturą. Sama idea stojąca za tym projektem jest tu znacznie ważniejsza niż jakakolwiek konkretna, urzędowa lista chronionych odgłosów. Państwo może bowiem oficjalnie uznać, że dźwięk stanowi pełnoprawny składnik narodowego dziedzictwa i niezbywalne dobro wspólne, a nie tylko irytujący, uboczny efekt procesów infrastrukturalnych. To z całą pewnością nie jest drobiazg administracyjny, nad którym można przejść do porządku dziennego. To jest potężny sygnał, że dojrzała wspólnota polityczna potrafi traktować słyszalny świat jako integralną część własnej samoświadomości. Gdy państwo ostatecznie przestaje słyszeć własne pejzaże dźwiękowe, bardzo szybko przestaje też rozumieć, że wspólnota to coś znacznie więcej niż tylko bezduszna sieć podatkowa.

Słuchanie jest w swojej najgłębszej istocie również fundamentalną kategorią antropologiczną, definiującą nasz sposób bycia w przestrzeni. Nie chodzi tu bynajmniej o ślepe posłuszeństwo wobec jakichkolwiek nakazów, lecz o samą jakość naszego zamieszkiwania. Człowiek wszak nie zamieszkuje otaczającego go świata wyłącznie przez zmysł wzroku i brutalne prawo własności. Zamieszkuje go w równej mierze przez pulsujący rytm, powracające echo, ludzki głos i unikalną rozpoznawalność akustyczną każdego miejsca. Miejsca te mają swój własny, niepodrabialny idiom dźwiękowy, który kształtuje się przez całe stulecia. Nie chodzi tu o tanie, sentymentalne przywiązanie do nostalgicznych odgłosów z dzieciństwa, choć i ono z pewnością nie jest całkowicie bez znaczenia. Chodzi o znacznie głębszy, ontologiczny fakt, że tożsamość fizycznej przestrzeni i tożsamość żywej wspólnoty współkonstytuują się właśnie przez te niewidzialne wzorce słyszalności.

Dźwięk wieży kościelnej, wieczorny śpiew owadów, szum bystrej rzeki, gwar lokalnego targu, specyficzny rejestr regionalnego języka – to wszystko tworzy gęstą, akustyczną tkankę miejsca. W momencie, gdy zostaje ona bezlitośnie zatarta przez jednolity, ogłuszający hałas infrastrukturalny albo przez globalną homogenizację, tracimy coś znacznie więcej niż tylko estetyczną przyjemność. Tracimy bezpowrotnie lokalną semantykę naszej obecności w świecie. Można by to ująć znacznie brutalniej, zdejmując na chwilę białe rękawiczki. Globalizacja w swoim najgorszym, korporacyjnym wydaniu bardzo często brzmi po prostu jak bolesna utrata unikalnego akcentu świata. Nieprzypadkowo więc w nowoczesnej humanistyce środowiskowej coraz częściej i głośniej mówi się o zjawisku sensory extinction. Termin ten, sensory extinction, czyli zjawisko polegające na drastycznym ubożeniu ludzkiej zdolności do odbierania, rozpoznawania i wartościowania akustycznej różnorodności świata, opisuje sytuację wręcz alarmującą.

Ubożeje w niej bowiem nie tylko sama biosfera jako zbiór konkretnych gatunków biologicznych, ale degradacji ulega nasz własny aparat poznawczy. To niezwykle ważne i brzemienne w skutki rozróżnienie, którego nie wolno nam ignorować. Możliwa jest bowiem taka podstępna postać kryzysu ekologicznego, w której naturalne środowisko dramatycznie ubożeje, a społeczeństwo nawet tego faktu nie rejestruje. Dzieje się tak, ponieważ jego wewnętrzne progi percepcyjne zostały już dawno, niepostrzeżenie przestawione na odbiór wyłącznie silnych, sztucznych bodźców. Wtedy ciche zanikanie życia nie wywołuje absolutnie żadnego alarmu, bo samo pole naszego słyszenia zostało już brutalnie skolonizowane przez mechaniczną monotonię. To właśnie dlatego Haskell ma całkowitą rację, gdy z pełnym przekonaniem twierdzi, że ekologiczna katastrofa jest zarazem głęboką katastrofą naszych zmysłów. Człowiek, który nie umie już usłyszeć tragicznego ubytku świata, bardzo łatwo i bezrefleksyjnie stanie się jego zimnym administratorem, bezwzględnym inwestorem albo ostatecznym grabarzem. Ciało nie jest czystym narzędziem ducha. Ciało jest archiwum kompromisów, a te kompromisy w epoce wszechobecnego hałasu stają się dla nas po prostu zabójcze.

Tę pozornie poetycką tezę warto obronić również przy użyciu twardego aparatu pojęciowego współczesnej ekonomii. W klasycznych, często przestarzałych modelach gospodarczych to, co nie posiada wyraźnej metki z ceną rynkową, nader łatwo bywa traktowane jako zasób całkowicie uboczny. Naturalny pejzaż dźwiękowy jest jednym z najbardziej spektakularnych, a zarazem najsmutniejszych przykładów takiej właśnie niewidzialnej, niedocenianej wartości. Dostarcza on nam przecież wymiernych korzyści zdrowotnych, poznawczych, kulturowych i ekologicznych, lecz bardzo często nie podlega żadnej adekwatnej wycenie w arkuszach kalkulacyjnych. Tymczasem najnowszy raport Europejskiej Agencji Środowiska z 2025 roku wprost i bez ogródek wskazuje, że transportowy hałas środowiskowy pociąga za sobą gigantyczne koszty ekonomiczne i zdrowotne.

Jednocześnie ten sam hałas bezlitośnie szkodzi także delikatnym ekosystemom lądowym i morskim, zaburzając ich naturalne cykle.

To jednoznacznie oznacza, że mamy tu do czynienia z klasycznym, podręcznikowym wręcz przypadkiem błędnej rachunkowości naszej cywilizacji. System gospodarczy zyskuje na nieustannym przyspieszeniu globalnych przepływów, lecz celowo nie księguje pełnego kosztu pogorszenia zdrowia publicznego i utraty bioróżnorodności. W języku bardziej dosadnym, odzierającym sprawę z korporacyjnej nowomowy, można powiedzieć to tak: współczesna gospodarka osiąga znaczną część swojej imponującej wydajności wyłącznie dlatego, że późny kapitalizm sprywatyzował ciszę, a uspołecznił hałas. Cały ten mechanizm bezwstydnie pasożytuje na niedoszacowanej wartości spokoju, traktując go jako darmowe wysypisko dla infrastruktury. System prawny również nie pozostaje w tej materii całkowicie bezradny, choć trzeba uczciwie przyznać, że dotąd bywał stanowczo zbyt ostrożny.

Nowoczesne prawo ochrony środowiska w coraz większym, zauważalnym stopniu uznaje, że realna szkoda środowiskowa absolutnie nie ogranicza się wyłącznie do materialnego zniszczenia gleby czy wody. Coraz ważniejsze dla prawodawców staje się prawne uznanie jakości środowiska jako takiej, w tym w szczególności jego niematerialnego wymiaru akustycznego. Niemniej jednak codzienna praktyka regulacyjna wciąż pozostaje daleko w tyle za rzeczywistą, rosnącą skalą tego problemu. Zbyt często niszczący hałas rozpatruje się jedynie jako fragmentaryczny, techniczny parametr danej inwestycji budowlanej, a nie jako fundamentalny składnik ładu publicznego. Zbyt często zbiurokratyzowane procedury oceny oddziaływania na środowisko traktują akustykę jako kolejny punkt do bezrefleksyjnego odhaczenia w tabelce. Tymczasem negatywne skutki hałasu mają zawsze charakter długofalowy, kumulatywny i są niezwykle niesprawiedliwie rozłożone w społeczeństwie.

Zbyt często prawo zadaje wąskie pytanie, czy konkretna norma decybelowa została przekroczona, zamiast pytać odważnie, jaki właściwie model życia zbiorowego taka norma trwale utrwala. To jest zasadnicza, wręcz przepastna różnica w podejściu do państwowości i dobra wspólnego. Norma prawna może bowiem nie być formalnie złamana na papierze, a otaczająca nas rzeczywistość może być już głęboko, nieodwracalnie zdegradowana. Właśnie dlatego poważna refleksja nad dźwiękiem powinna natychmiast wejść do samego centrum debaty o jakości nowoczesnego państwa. Dobre państwo wszak nie mierzy swojego sukcesu wyłącznie ślepym wzrostem gospodarczym i wskaźnikami PKB. Dobre państwo uważnie słyszy, co jego własna infrastruktura robi z ciałami obywateli, z naturalnymi krajobrazami i z lokalnymi wspólnotami.

Sprawdziłem wnikliwie publicznie dostępne treści i manifesty Fundacji Dobre Państwo i muszę przyznać, że istnieje tam wyraźna, głęboka zgodność aksjologiczna z naszymi rozważaniami. Pomiędzy tym, co logicznie wynika z omawianego materiału o akustyce, a publikowanym przez

Fundację stanowiskiem, widać wspólny front krytyczny wobec cynizmu antyekologicznego. Widać tam również zdecydowany sprzeciw wobec bezdusznej logiki, która traktuje żywą wspólnotę oraz naturalne środowisko wyłącznie jako wygodny koszt do przerzucenia na słabszych. To niezwykle ważne spostrzeżenie, bo temat dźwięku z pewnością nie jest tylko jakąś niszową, hobbystyczną przybudówką do głównego nurtu ekologii. Jest on wręcz jednym z najważniejszych, najsurowszych testów tego, czy naprawdę myślimy o państwie jako o instytucji realnej troski o dobro wspólne. Alternatywą jest traktowanie państwa wyłącznie jako wynajętego menedżera do spraw optymalizacji przepływu kapitału i ruchu towarów.

Wracając jednak do samego Haskella, trzeba to powiedzieć najostrzej i najdobitniej jak się tylko da, bez owijania w bawełnę. Jego autorska filozofia słuchania z całą pewnością nie jest miłym, relaksującym ćwiczeniem z mindfulness dla ludzi o wysokiej wrażliwości estetycznej. Jest ona potężną, bezkompromisową krytyką całej naszej cywilizacji zagłuszenia, która z hałasu uczyniła swoje narzędzie. Zagłuszenie zaś absolutnie nie jest wyłącznie przypadkowym, niefortunnym efektem ubocznym pędzącej nowoczesności, jak chcieliby tego rzecznicy wielkiego przemysłu. Jest ono jedną z jej głównych, w pełni świadomych metod sprawowania kontroli i dominacji. Zagłusza się przecież dzikie rzeki przez agresywną infrastrukturę hydrotechniczną, a bezkresne oceany przez ciężki przemysł wydobywczy.

Zagłusza się biedniejsze, marginalizowane dzielnice miast przez puszczanie tamtędy ciężkiego transportu tranzytowego. Zagłusza się społeczności rdzenne przez brutalne wydobycie surowców, a same zwierzęta przez bezpardonową kolonizację ich naturalnych pasm komunikacyjnych. Zagłusza się ostatecznie samego człowieka przez nieustanny, wyczerpujący reżim cyfrowych bodźców, który skutecznie rozsadza naszą uwagę. Mówiąc inaczej, zrzucając maskę neutralności technologicznej, zagłuszenie jest po prostu formą brutalnej władzy nad tym, co w ogóle może się pojawić w naszej świadomości jako znaczące. Kto skutecznie zagłusza innych, ten nie tylko bezmyślnie hałasuje w przestrzeni publicznej. On autorytarnie ustala całą hierarchię otaczającej nas realności.

Właśnie z tego ponurego faktu bierze się prawdziwy polityczny i moralny radykalizm samego aktu słuchania. Słuchać to znaczy odważnie dopuścić do siebie myśl, że nie wszystko na tym świecie zaczyna się ode mnie i nie wszystko kończy się na moim wąskim interesie. Słuchać to z pokorą przyznać, że w otaczającym nas świecie istnieją również inni, równoprawni nadawcy sensu i znaczenia. Słuchać to ostatecznie uznać, że nie tylko arogancki człowiek ma swój głos, choć z pewnością nie każdy głos w naturze przybiera zrozumiałą dla nas formę ludzkiej mowy. Słuchać to także, a może przede wszystkim, wejść w otwarty konflikt z bezlitosną logiką systemów ekonomicznych, które wymagają ciągłego przyspieszenia. W tym właśnie, głęboko filozoficznym sensie, świadome słuchanie staje się prawdziwym aktem obywatelskiego oporu. Nie dlatego, że

samo w sobie obali dymiącą rafinerię, ale dlatego, że przywraca człowiekowi zdolność rozpoznawania tego, co owa rafineria niszczy, zanim zostanie to cynicznie wpisane do raportu ESG.

Współczesny, wykształcony profesjonalista – niezależnie czy jest to naukowiec, menedżer, prawnik czy rzutki przedsiębiorca – nie powinien więc czytać o problemie dźwięku z pobłażaniem. Nie wolno mu traktować tego tematu jako egzotycznego, niegroźnego przedmiotu zainteresowania oderwanych od życia przyrodników. To jest bowiem fundamentalna sprawa dotycząca samego ładu społecznego, jakości naszych instytucji publicznych, realnych kosztów zdrowotnych i trwałości całych ekosystemów. Państwo, które systemowo nie dba o dźwiękowy, harmonijny wymiar życia wspólnego, wcześniej czy później płaci za to gigantyczną cenę. Płaci w przeciążonym systemie ochrony zdrowia, w drastycznym obniżeniu jakości kapitału ludzkiego i w ostatecznej degradacji zaufania społecznego. Firma, która z arogancją uważa generowany przez siebie hałas za całkowicie neutralny skutek uboczny, po prostu bezczelnie przerzuca swój koszt na otoczenie. Z kolei uniwersytet, który nie rozumie wagi kryzysu zmysłowości, sam skazuje się na taśmową hodowlę ekspertów zdolnych do analizy danych, ale niezdolnych do rozpoznania świata.

Pozostaje nam więc na koniec teza najprostsza w swoim brzmieniu, a zarazem najtrudniejsza do realnego przyjęcia przez naszą epokę nieustannego przyspieszenia. Słuchanie z całą pewnością nie jest żadnym elitarnym luksusem dla wybranych, lecz fundamentalną formą naszej odpowiedzialności ontologicznej. Odpowiedzialności ontologicznej, czyli głębokiej odpowiedzialności za sam sposób, w jaki w ogóle uznajemy istnienie innych bytów, innych wspólnot i innych rytmów. Dźwięk przez miliony lat ewolucji stworzył niezliczone, wspaniałe możliwości życia na tej planecie, a słuch utrzymał je w delikatnej równowadze. Wszechobecny hałas systemowy zaś działa dziś jak brutalna odwrotność aktu stwarzania: upraszcza, agresywnie wypiera, cynicznie maskuje i fizycznie wyczerpuje. Gdy człowiek, ten rzekomo najpotężniejszy gatunek na planecie, ostatecznie przestaje słuchać otoczenia, nie tylko popełnia niewybaczalny błąd moralny. On z pełną premedytacją sabotuje same warunki własnej, długofalowej racjonalności i przetrwania.

I być może właśnie to jest najważniejsze, najbardziej palące przesłanie całej tej wielowątkowej opowieści o dźwięku i ciszy. Żadna wielka cywilizacja nie upada dopiero w tym dramatycznym momencie, gdy fizycznie kończą się jej materialne surowce w magazynach. Zaczyna ona upadać znacznie wcześniej, w ciszy, gdy z arogancją przestaje słyszeć własne, naturalne granice. A te nieprzekraczalne granice świata bardzo często przychodzą do nas najpierw jako subtelna zmiana tonu, jako bolesny ubytek ptasiego chóru, jako nagłe przerwanie odwiecznego rytmu. Dlatego właśnie obrona aktu słuchania jest w istocie obroną całego naszego świata, i to absolutnie nie w sensie naiwnie sentymentalnym, lecz w sensie najbardziej trzeźwym. Kto nie umie słuchać, ten

będzie źle rządził, podejmując decyzje oparte na iluzjach. Kto nie umie słuchać, ten będzie źle inwestował, niszcząc fundamenty własnego kapitału, i po prostu będzie źle żył. A kto z premedytacją zagłuszył całą planetę i jeszcze z uśmiechem nazywa to cywilizacyjnym rozwojem, ten z pewnością nie jest księgowym katastrofy – on jest jej głównym architektem.

Algorytmy: cyfrowa redefinicja dźwięku

Polskie prawo sąsiedzkie traktuje hałas nie jako błahą przykrość, lecz jako brutalne naruszenie granic cudzej własności i spokoju domowego. W skrajnych wypadkach staje się on zamachem na nasze dobra osobiste. Jego rdzeń nie leży w romantycznym haśle o „ciszy nocnej", tylko w trzeźwej konstrukcji prawnej. Właściciel nieruchomości ma korzystać z niej tak, by nie zakłócać życia sąsiadom ponad przeciętną miarę. Tak stanowi artykuł 144 Kodeksu cywilnego, który każe oceniać uciążliwość według przeznaczenia gruntu i stosunków miejscowych. Polskie prawo nie obiecuje utopijnej ciszy, lecz gwarantuje rozsądną równowagę między wolnością korzystania z własnej ziemi a prawem sąsiada do normalnego życia.

W praktyce hałas stanowi klasyczny przykład immisji pośredniej. Jest to oddziaływanie, które nie polega na fizycznym wtargnięciu na cudzy grunt, ale wdziera się w sferę życia przez dźwięk, wibrację, zapach czy dym. Polskie sądy wprost opisują destrukcyjne oddziaływanie hałasu jako bezprawną immisję. Sąd Najwyższy wielokrotnie wiązał spory o hałas z artykułem 144 Kodeksu cywilnego. Nie chodzi tu o banalną konstatację, że „sąsiad jest niemiły". Chodzi o fundamentalną zasadę, według której własność w polskim prawie nie jest suwerennością absolutną, wyjętą spod jakiejkolwiek kontroli. To prawo niewątpliwie silne, ale z całą pewnością nie dzikie.

Najważniejsze w artykule 144 Kodeksu cywilnego jest sformułowanie „ponad przeciętną miarę". To ono odróżnia dojrzałe prawo od dziecięcej fantazji o świecie bezkonfliktowym. Przeciętna miara nie oznacza matematycznej średniej ani automatycznej granicy. Sąd ocenia ją zawsze w konkretnym kontekście. Inaczej spojrzy na hałas w śródmiejskiej zabudowie usługowej, inaczej na wiejską działkę, a jeszcze inaczej na osiedle domów jednorodzinnych; dlatego ten sam dźwięk może być w jednym miejscu elementem życia, a w innym bezprawną uciążliwością. Prawo sąsiedzkie jest tu bardziej antropologiczne niż algorytmiczne. Bada realne warunki zamieszkiwania, a nie abstrakcyjną ciszę idealną.

Jeżeli hałas przekroczy tę przeciętną miarę, właścicielowi przysługuje roszczenie negatoryjne z artykułu 222 paragraf 2 Kodeksu cywilnego. Może on domagać się przywrócenia stanu zgodnego z prawem i zaniechania naruszeń. W sprawach dotyczących nieruchomości to roszczenie co do zasady nie przedawnia się, co ma kluczowe znaczenie przy długotrwałych immisjach. W języku

mniej kodeksowym oznacza to, że nikt nie musi biernie znosić chronicznego huku. Nie musimy cierpieć tylko dlatego, że sprawca urządził sobie na własnym gruncie prywatne księstwo decybeli. Prawo daje narzędzie, by tę udrękę ostatecznie przerwać.

W cięższych stanach problem hałasu wkracza w obszar dóbr osobistych. Artykuł 23 Kodeksu cywilnego wymienia między innymi zdrowie i nietykalność mieszkania. Z kolei artykuł 24 pozwala żądać zaniechania naruszeń, usunięcia skutków oraz zadośćuczynienia. Sąd Najwyższy podkreślił, że poczucie bezpieczeństwa, mir domowy, prawo do wypoczynku i prywatności stanowią elementy nietykalności mieszkania, a nocne hałasy mogą to dobro drastycznie naruszać. Ciało nie jest czystym narzędziem ducha. Ciało jest archiwum kompromisów, a chroniczny stres akustyczny zapisuje się w nim bezlitośnie. Polskie prawo chroni więc elementarną możliwość odpoczynku we własnym domu.

Równolegle działa warstwa administracyjno-środowiskowa. Prawo ochrony środowiska stanowi, że ochrona przed hałasem polega na zapewnieniu najlepszego stanu akustycznego otoczenia. Osiąga się to przez utrzymywanie poziomu hałasu poniżej dopuszczalnego progu. Gdy próg nie jest dotrzymany, państwo nakazuje jego zmniejszanie. Dopuszczalne poziomy hałasu określa rozporządzenie Ministra Środowiska z 14 czerwca 2007 roku, ogłoszone w tekście jednolitym. To ważne, bo spór sąsiedzki o hałas bywa jednocześnie sporem cywilnym i problemem ochrony środowiska.

Trzeba uważać na częsty błąd praktyczny pokutujący w społecznej świadomości. W polskim prawie nie ma ogólnego przepisu ustanawiającego „ciszę nocną” jako sztywną instytucję od 22.00 do 6.00. To pojęcie zwyczajowe, powtarzane w regulaminach wspólnot czy spółdzielni. Ustawowo chroniony jest natomiast „spoczynek nocny”. Jego zakłócanie przez krzyk, hałas lub wybryk może stanowić wykroczenie z artykułu 51 paragraf 1 Kodeksu wykroczeń. Polski porządek prawny jest tu bardziej subtelny, niż podpowiada obiegowa legenda. Nie istnieje magiczna „cisza nocna” z jednego przepisu, ale istnieją realne instrumenty ochrony.

W praktyce oznacza to rozdzielenie dwóch porządków. Jednorazowa nocna awantura, impreza albo puszczanie muzyki „na cały blok” może skończyć się interwencją policji i odpowiedzialnością za wykroczenie. Natomiast uporczywy hałas związany z korzystaniem z nieruchomości, działalnością gospodarczą czy urządzeniami technicznymi to inna kategoria. Taka sytuacja częściej prowadzi do sporu cywilnego o immisje, niekiedy uzupełnionego o wątek dóbr osobistych. Polskie prawo odróżnia incydent od patologicznego modelu życia. I słusznie, bo nie to samo znaczy sąsiad po jednym weselu i sąsiad urządzający codzienne akustyczne oblężenie.

W sporach sąsiedzkich ogromne znaczenie ma zgromadzony materiał dowodowy. Sama deklaracja „jest głośno” zwykle nie wystarcza. Liczą się nagrania, zeznania świadków, notatki z interwencji oraz dokumentacja częstotliwości zakłóceń. W sprawach poważniejszych niezbędne są opinie biegłych i pomiary akustyczne, przy czym cywilna ocena immisji nie zawsze wymaga mechanicznego wykazania przekroczenia każdej normy z rozporządzenia. Często bowiem ludzie mylą pomiar z rozumieniem, a rejestrację z doświadczeniem. Sąd bada funkcję nieruchomości na tle artykułu 144 Kodeksu cywilnego. Zdarza się, że coś nie mieści się w kulturze współżycia, nawet gdy sprawca zasłania się frazesem „przecież to moje”, ponieważ własność nie jest licencją na cudzą bezsenność.

Na tym tle polskie prawo sąsiedzkie wypada zaskakująco dojrzale. Nie opiera się na utopii pełnej ciszy, lecz na idei współzamieszkiwania. To model umiarkowany, ale z całą pewnością nie bezbronny. Daje ochronę właścicielowi przez artykuły 144 i 222 Kodeksu cywilnego, człowiekowi przez artykuły 23 i 24, wspólnocie przez przepisy wykroczeniowe, a środowisku przez normy akustyczne. Problem nie leży więc w braku narzędzi. Problem leży w tym, że poszkodowani zbyt długo liczą na „dogadanie się”, a sprawcy wierzą, że hałas nie zostawia śladów, podczas gdy zostawia je w dokumentacji policyjnej, opinii biegłego, a czasem wprost w naruszonym prawie do spokoju.

Najkrócej rzecz ujmując, polskie prawo sąsiedzkie mówi w sprawie hałasu tyle: nie każda uciążliwość jest bezprawiem, ale własność kończy się tam, gdzie zaczyna się ponadprzeciętna krzywda akustyczna sąsiada. Prawo nie obiecuje ciszy absolutnej. Obiecuje cywilizację. A to, w epoce głośnych ludzi i jeszcze głośniejszych urządzeń, wcale nie jest mało. David George Haskell w książce „Sounds Wild and Broken” przypomina, że dźwięk kształtuje nasz świat. Prawo dba po prostu o to, by ten świat nie stał się dla nas koszmarem.

> Czy w świecie, który zamienił ciszę na nieustanny szum, potrafimy jeszcze odróżnić sens od zwykłego hałasu? Prawdziwe zagrożenie nie tkwi w naruszeniu decybeli, lecz w naszej postępującej głuchocie na sygnały, które podtrzymują życie. Jeśli nie nauczymy się słuchać innych bytów, nasza cywilizacja stanie się własnym, najgłośniejszym i najbardziej samotnym monologiem.

Inspiracje

[1] **"Sounds Wild and Broken"** David George Haskell

2022 | Viking

David George Haskell to brytyjsko-amerykański biolog i pisarz znany z lirycznych eksploracji świata przyrody. Jest dwukrotnym finalistą Nagrody Pulitzera w kategorii literatury faktu za książki „The Forest Unseen" i „Sounds Wild and Broken". W swojej twórczości łączy naukę, literaturę i praktykę kontemplacyjną. Jest stypendystą Fundacji Guggenheima i Towarzystwa Linneuszowskiego w Londynie, wcześniej wykładał na University of the South, a obecnie jest profesorem nadzwyczajnym na Emory University.

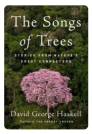
David George Haskell *is a British-American biologist and writer known for his lyrical explorations of the natural world. He is a two-time Pulitzer Prize finalist in General Nonfiction for his books 'The Forest Unseen' and 'Sounds Wild and Broken'. His work integrates science, literature, and contemplative practice. A Guggenheim Fellow and Fellow of the Linnean Society of London, he previously served as a professor at the University of the South and is currently an Adjunct Professor at Emory University.*

Emory University

Literatura uzupełniająca

Książki

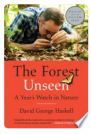
Autorzy przywoływani w artykule:



[1] **"The Songs of Trees: Stories from Nature's Great Connectors"**

David George Haskell

2017 | Black Incorporated | ISBN: 9781863959261



[2] **"The Forest Unseen: A Year's Watch in Nature"**

David George Haskell

2013 | Penguin | ISBN: 9780143122944

Literatura pokrewna (Google Scholar):



[3] "The Sovereignty of Good"

Iris Murdoch

2001 | Psychology Press | ISBN: 9780415255523



[4] "Metaphysics as a Guide to Morals"

Iris Murdoch

1994 | Penguin | ISBN: 9781101495797



[5] "The Great Animal Orchestra: Finding the Origins of Music in the World's Wild Places"

Bernie Krause

2025 | Usborne Books | ISBN: 9781805074342



[6] "Listening to Nature: How to Deepen Your Awareness of Nature"

Joseph Cornell

1987 | Dawn Publications (CA)

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] "Anthropogenic noise as a rapid evolutionary force: A review"

Dominic A. Martin, et al.

2019 | Biological Conservation

Google Scholar

[2] "Soundscape ecology: the science of sound in the landscape"

Bryan C. Pijanowski, et al.

2011 | BioScience

Google Scholar

[3] "Anthropogenic noise as a rapid evolutionary force: Mechanisms and consequences"

Dominic A. Martin, et al.

2019 | Trends in Ecology & Evolution

Google Scholar

[4] **"The Idea of Perfection"**

Iris Murdoch

1964 | Yale Review

Google Scholar

[5] **"The soundscape of the Anthropocene: A review of the impacts of anthropogenic noise on wildlife"**

Shannon, G., McKenna, M. F., Angeloni, L. M., Crooks, K. R., Fristrup, K. M., Boyle, E., Wittemyer, G.

2016 | Science

Google Scholar

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 538f9e11-ff47-40c9-b501-26249ebd13ee